Tygodnik Prawników
RZECZPOSPOLITA

W BIAŁYCH KOŁNIERZYKACH

MAT. PRAS.

Czas próby nowego RPO

Maciej Zaborowski

Wybór Sylwii Gregorczyk-Abram budzi nadzieję, ale również uzasadnione pytania. Pani mecenas z pewnością nie brakuje odwagi i konsekwencji. Jednocześnie obejmuje urząd z bardzo wyraźną biografią i jednoznacznym miejscem w sporze polityczno-prawnym ostatnich lat.

Mamy nowego rzecznika praw obywatelskich. A właściwie rzeczniczkę praw obywatelskich. Bez wątpienia powinno to być święto demokracji. I to nie tylko – jak to ujął kiedyś premier Donald Tusk – demokracji walczącej. Powołanie osoby, której konstytucyjnym zadaniem jest patrzenie władzy na ręce, stawanie po stronie słabszych i upominanie się o tych, których państwo nie chce słuchać, powinno być jednym z najważniejszych wydarzeń publicznych. Niestety zamiast tego mamy gorący spór polityczny wokół dokonanego przez parlament wyboru.

Nie ukrywam, że moje osobiste doświadczenia z tym urzędem nie należą do najlepszych. A najlepiej obrazuje to poniższa krótka historia. Pamiętam, jak przed laty udałem się wraz z klientem na spotkanie z jedną z osób pełniących ten zaszczytny urząd. Sprawa dotyczyła przedsiębiorcy skazanego pod jego nieobecność na trzy lata bezwzględnego pozbawienia wolności. Mój klient nie poinformował sądu o zmianie miejsca zamieszkania – to niezaprzeczalny fakt. W aktach znajdował się jednak także jego drugi adres, telefon, mail. Nikt nie podjął jakiejkolwiek próby skutecznego dotarcia do niego. Sąd uznał, zgodnie z przepisami, nieobecność oskarżonego za nieusprawiedliwioną, przeprowadził rozprawę bez niego i już na pierwszym terminie wydał wyrok. Dowodów nie miał kto podważać, wyjaśnień nie miał kto złożyć, a argumentów obrony nie miał kto przedstawić. Wyrok szybko stał się prawomocny. Nikt go przecież nie zaskarżył, ponieważ człowiek, który mógłby to zrobić, nie wiedział nawet o jego istnieniu. Państwo osiągnęło w tej sprawie niemal proceduralną doskonałość: było nieskuteczne doręczenie, była rozprawa, był wyrok i kara 3 lat pozbawienia wolności w skomplikowanej sprawie gospodarczej. Była prawomocność. Zabrakło jedynie oskarżonego.

Właśnie dlatego zwróciliśmy się do rzecznika praw obywatelskich. Po wielu staraniach udało się doprowadzić do osobistego spotkania. Kiedy jednak rzecznik zorientował się, że sprawa znajduje się już na etapie wykonawczym, a klient jest poszukiwany przez policję, dał jasno do zrozumienia, że nasza obecność u niego w biurze nie jest mile widziana. Padła nawet groźba telefonu na policję. Na tym zakończyła się nasza interwencja.

> „RPO powinien dostrzegać to, czego inne instytucje dostrzec nie chcą. Widzieć człowieka tam, gdzie aparat państwa widzi już tylko sygnaturę, skazanego, osadzonego lub poszukiwanego

Rzecznik nic nie może

Niestety nie jest to przypadek odosobniony. Większość spraw, z którymi jako adwokaci zwracamy się do RPO, nie spotyka się z większym zainteresowaniem urzędu. Gdybym całkiem serio traktował otrzymywane odpowiedzi, musiałbym dojść do wniosku, że rzecznik generalnie niewiele może. Za każdym razem pojawia się bowiem podobna formułka wyjaśniająca, dlaczego akurat w tej sprawie urząd nie ma podstaw, kompetencji albo możliwości działania. A jest dokładnie odwrotnie – zarówno konstytucja, jak i ustawa przyznają RPO bardzo dużo ważnych kompetencji. Z różnych jednak względów te pozostają w dużej mierze martwe.

Po pierwsze: sprzeciwiać się władzy

RPO powinien dostrzegać to, czego inne instytucje dostrzec nie chcą. Powinien widzieć człowieka tam, gdzie aparat państwa widzi już tylko sygnaturę, skazanego, osadzonego albo poszukiwanego. Pierwsza rzecznik praw obywatelskich, prof. Ewa Łętowska, napisała kiedyś: „Każdy rzecznik praw obywatelskich, jeśli chce dobrze wykonywać swe zadania, musi przede wszystkim sprzeciwiać się władzy". Dodam od siebie – każdej władzy. W tym jednym zdaniu mieści się właściwie cała istota urzędu. Rzecznik lubiany przez władzę powinien zacząć się niepokoić. Rzecznik chwalony przez ministrów powinien sprawdzić, czy wystarczająco uważnie patrzy im na ręce. Rzecznik, którego działania nigdy nie drażnią rządu, parlamentu, prokuratury, policji ani sądów, prawdopodobnie nie wykonuje swojej pracy dostatecznie dobrze.

Dużo pytań bez odpowiedzi

Wybór mecenas Sylwii Gregorczyk-Abram budzi nadzieję, ale również uzasadnione pytania. Pani mecenas z pewnością nie brakuje odwagi i konsekwencji. Udowodniła to swoją działalnością publiczną. A my jako społeczeństwo potrzebujemy ludzi odważnych na tym stanowisku. Jednocześnie obejmuje urząd z bardzo wyraźną biografią i jednoznacznym miejscem w sporze polityczno-prawnym ostatnich lat. Sama aktywność publiczna nie może być oczywiście zarzutem. Przeciwnicy nowej rzeczniczki już jednak rozwinęli skrót RPO jako „Rzecznik Platformy Obywatelskiej". To złośliwa i zdecydowanie przedwczesna ocena. Nie można jednak udawać, że pytania nie istnieją. Ponieważ na dużą część z nich nie padły nigdy odpowiedzi, to pozostała niestety przestrzeń do domysłów. To niedobrze dla urzędu, którego najważniejszym kapitałem musi być zaufanie wykraczające poza jeden obóz polityczny.

Prawdziwy test dla nowej rzeczniczki nadejdzie więc wtedy, gdy będzie musiała wystąpić przeciwko władzy, z którą w części spraw może jej być światopoglądowo po drodze. Czy z taką samą determinacją stanie w obronie prawicowego publicysty czy konserwatywnego działacza? Czy sprzeciwi się obecnemu premierowi, ministrowi sprawiedliwości i większości parlamentarnej, gdy to oni przekroczą granice prawa? Jak się zachowa, gdy o pomoc zwróci się do niej były minister sprawiedliwości Zbigniew Ziobro?

Właśnie po odpowiedziach na te pytania poznamy rzeczniczkę praw obywatelskich. Rzecznik ma być tarczą obywatela, a gdy władza przekracza granice prawa – mieczem wymierzonym w jej bezprawie. Tarcza ma osłaniać jednak każdego, a miecz ma uderzać w bezprawie bez pytania o partyjne barwy. Czy tak będzie? /℗

Gratulacje, Pani Rzecznik. Mocno trzymam za to kciuki. Teraz nastaje czas na odpowiedzi.

Autor jest adwokatem i sędzią Trybunału Stanu

WNIOSKI (NIE)FORMALNE

MAT. PRAS.

Oksymoron pracy na B2B

Leszek Kieliszewski

Zamiast pójść po rozum do głowy i zracjonalizować koszty zatrudnienia, wyposażono Państwową Inspekcję Pracy w uprawnienia, których stosowanie może doprowadzić klasę średnią do ruiny.

To, jak mówimy, niekiedy zupełnie nieświadomie wyraża istotę rzeczy, której oficjalnie nie przyznajemy. Pracować można na umowę o pracę, na zlecenie i na B2B. Wiadomo, że za każdym razem chodzi o świadczenie pracy. Praca jest więc treścią, a forma prawna formą.

Oficjalnie mamy więc przedsiębiorców, którzy mają jednego kontrahenta, który wydaje im polecenia, co i jak mają robić. Mają prawo do płatnej przerwy w świadczeniu usług, która wynosi 26 dni i wymaga wcześniejszego zgłoszenia – taki urlop, tylko nazywa się inaczej.

Ta cała rzesza pracujących na B2B i udających przedsiębiorców, to efekt uboczny horrendalnego opodatkowania i oskładkowania pracy. Pracodawców i pracowników zwyczajnie nie stać na standardową formę zatrudnienia. Przymuszeni ekonomicznie szukają rozwiązań bardziej opłacalnych i z ich perspektywy bardziej racjonalnych.

Do tego dochodzi państwo, które od dekady problem widzi, ale go nie dostrzega. Partie polityczne, zabiegając o głosy mas i w obawie przed hejtem większości jakby bały się stanąć za tymi trochę lepiej zarabiającymi. Podniesienie drugiego progu podatkowego do kwoty 140 tys. zł przedstawiane jest jako sukces, a jest porażką – w istocie progu nie podnosimy. My go ledwo waloryzujemy.

Tak wysokie opodatkowanie pracy jest przyczyną zjawiska, które określam „dobrze zarabiającym biedakiem". Dobrze zarabiający biedak jest wykształcony, ma fajną pracę, mieszkanie i samochód w kredycie, coś na raty. Pieniędzy wystarcza na spłatę bieżących rachunków i rat, a i na przyzwoite życie zostaje. Do momentu wejścia w 32 proc. próg podatkowy. Wejście w 32 proc. podatek oznacza radykalny spadek jakości życia, a niekiedy poważniejsze problemy finansowe, z koniecznością pożyczania do pierwszego i spiralą zadłużenia włącznie.

Problemu dobrze zarabiającego biedaka można uniknąć, wybierając pracę na B2B. Podatek można wybrać liniowy 19 proc., a w niektórych zawodach ryczałt od przychodów ewidencjonowanych wahający się od 2 proc. do 17 proc.

Do tego dochodzi różnica w składce zdrowotnej, która dla przedsiębiorców na podatku liniowym wynosi 4,9 proc., podczas gdy dla tych zatrudnionych na normalnej umowie o pracę 9 proc. Na umowie o pracę więcej odkłada się na emeryturę, co oznacza, że płaci się wyższe składki w wierze i nadziei, że do emerytury się dożyje, a ZUS nadal będzie istniał i będzie wypłacalny.

Zobrazujmy różnice na przykładzie pracownika, który ma wybór: zarabiać 20 000 brutto na umowie o pracę, albo 20 000 netto (+VAT), pracując na B2B. Na umowie o pracę koszt pracodawcy będzie co miesiąc wynosił 24 006 zł, z czego pracownik otrzyma na rękę do lipca prawie 14 000 zł miesięcznie, a od sierpnia nieco ponad 10 500 zł. Brak w domowym budżecie 3 500 zł stanowiący 25 proc. dochodu netto, to olbrzymia różnica.

W przypadku zatrudnienia na B2B, koszt pracodawcy wyniesie tyle co pracownika, a więc 20 000 zł (+VAT) miesięcznie. Pracownik po opłaceniu składek i podatków będzie miał co miesiąc 14 500 zł, a do tego możliwość odliczenia od podatku kosztów związanych z prowadzoną działalnością, takich jak samochód, telefon, komputer i inne w zależności od rodzaju prowadzonej działalności. Do tego może dojść „ulga na start" w ZUS, co dodatkowo zwiększy rozporządzalną kwotę dochodu netto w pierwszym okresie prowadzenia firmy.

Co zatem daje umowa o pracę? W zasadzie to ochronę zatrudnienia. Rzecz pożądana, ale za droga. Dla pracodawców niekorzystna, a dla pracowników za droga, ostatecznie nie opłaca się nikomu. Pracownicy zapewne by chcieli, ale ich nie stać.

Zamiast pójść po rozum do głowy i zracjonalizować koszty zatrudnienia, wyposażono Państwową Inspekcję Pracy w uprawnienie do administracyjnej zmiany umów B2B w umowy o pracę. I choć publiczna narracja mówi o trosce o najmniej zarabiających, to frukty są przy przemienianiu umów B2B dobrze zarabiającym ekspertom. ZUS i US, stosując prawo, będą więc określać obowiązki podatkowe sięgające dziesiątek, a niekiedy setek tysięcy zł, doprowadzając klasę średnią do finansowej ruiny. Jest to reakcja na patologie rynku pracy, które politycy głupią polityką najpierw wyhodowali, żeby dzisiaj w poszukiwaniu pieniędzy z nią walczyć.

Zamiast tego, może warto sprawić, aby umowa o pracę stała się dostępna zarówno dla pracodawców, jak i dla pracowników – dziś to towar luksusowy. /℗

Autor jest adwokatem, partnerem zarządzającym w kancelarii Legality